

Rozdział II

“Prawdziwa Harmonia”

“O ileż bardziej przygnębiające od nieubłaganego przeświadczenia o naszym grzesznym stanie w teraźniejszości jest nawet najslabsze przeświadczenie o dawnym wieczystym uzasadnieniu naszej doczesności. Przy dawnym, pierwotnym grzechu naszych przodków, moje przewiny zdają się błędą tak, że nie są w sumie warte wspomnienia. Poza tym, nie tylko ja byłem tego wieczoru w Krągłej Kokosze...”

– Wielebny Pike podczas procesu o herezję.

Prereading i korekta: Zodiak, Cahan, Gandzia, Johnnny, SoulsTornado

– Powiem wam, że ostatnimi czasy wszystko jakby na gorsze schodzi – narzekał Hoffman, kucyk ziemny, właściciel gospody Splecione Węgorze, wspinając się na niewielkie wzgórze i ciągnąc ze sobą wózek wyładowany beczkami z winem. – Niby teraz taki postęp, codziennie słyszę za ladą, jak te ważniaki z Akademii wychwalają jakiś nowy wynalazek, jeden dziwniejszy od poprzedniego. A ja się pytam, “Na co nam się to to zda, skoro dobrze jest, jak jest. Piekarz piecze w piecu, rybak łowi siecią, a rzeźbiarz rzeźbi dłutem. Tak było od zawsze i się sprawdzało. Po co udziwniać?” I wiecie, co mi odpowiedzieli, mistrzu?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Sea Shine, idąc kilka kroków za karczmarzem, którego obecność umilała ogierowi mozolną wędrówkę.

– A oni mi na to: “Ku polepszeniu warunków bytowych”. Rozumiecie, mistrzu? Takie “polepszacze” są dobre dla tych wymuskanych paniątek, podczas gdy nas, maluczkich, trzepnie po kieszeniach. Ale te młokosy na uniwersytecie będą kiwać z dumą głowami ze swoich zakurzonych ławek, mówiąc “Ulepszyliśmy świat”.

– Przesadzacie, panie Hoffman – odparł z przekąsem zakonnik, który choć rozumiał obawy karczmarza, nie widział nic złego w ulepszaniu aktualnych norm. – Postęp nie jest czymś złym i nie da się go zatrzymać.

– Niestety – przyznał ogier, spluwając przy okazji na wygrzewającego się na bruku kocura. Futrzak zasyczał oburzony i czmychnął w sobie tylko znanym kierunku. – Problem polega na tym, że czasami te ich badania dotyczą materii, której nikt nie powinien tykać. Słyszeliście o tym nowym wynalazku, co go prochem nazywają? Z nazwy to niby nic takiego, ale ponoć jak się podpali, to i granit rozłupuje bez problemów.

Sea Shine skinął głową, gdyż też o tym słyszał. Jeszcze jeden wymysł gryfów z Griffonstone. Jego działanie z opisów wydawało się łądząco podobne do jednego z zaklęć ognia, jednak było o wiele silniejsze, co wywołało wiele dyskusji w Akademii Magii. Oficjalnie środek ten został wymyślony do rozłupywania skał w kamieniołomach, jednak możliwość rozsądzenia kamiennych murów wrogiej twierdzy w ciągu kilku sekund była wizją co najmniej kuszącą.

– Może i racja – stwierdził zakonnik, spoglądając na karczmarza. – Wszak rzadko kiedy wiara ma gorszego wroga niż kucyk uczony, gdyż od zadawania pytań i stawiania hipotez maleńki tylko krok do obmierzłej herezji. Pewnikiem, gdyby przyjrzeć się temu, jak mówicie, “prochowi”, odnaleźlibyśmy ślady diabelstwa i nikczemnego czarostwa.

– Ani chybi – przytaknął ogier, rad ze słów Sea Shine’a. – Muszą to być diabelskie sprawy, jakżeby inaczej mogłoby powstać coś podobnego?

Siłą postępu, pomyślał pegaz. *Tego samego, którego tak nie znosisz, a który pędzi jak szalony i ani myśli się zatrzymać.* Zakonnikowi to jednak nie przeszkadzało, a nawet w pewnym sensie intrygowało go to. Mimo iż nie miał umysłu na tyle giętkiego, by pojąć wszystkie arkana akademickich nauk, zdumiewała go pomysłowość owych obmierzłych Hoffmanowi wynalazców.

– Przyjdzie nam się tu pożegnać, panie Hoffman – powiedział Sea Shine, gdy dotarli przed główną bramę. – Trzymajcie się.

– Bądźcie zdrowi – odpowiedział karczmarz ze szczerym uśmiechem, po czym skupił się bez reszty na rozładowywaniu beczek, w którym to zadaniu pegaz gorąco go dopingował. W końcu ich zawartość przeznaczona była dla niego i innych zamieszkujących ten przybytek zakonników.

Zakonnik spojrzał ze wzgórza na miasto skąpane w złotym blasku wschodzącego słońca, którego łuna powoli, leniwie pojawiała się na horyzoncie. Pierwsze poranne promienie lizały już dachy kamienic, podczas gdy znajdujące się poniżej ulice dalej oblepiała gęsta poranna mgła. Nagły podmuch morskiego powietrza uderzył pegaza, zmuszając go do mocniejszego otulenia się wełnianym płaszczem.

Sea Shine przeszedł przez główną bramę i skierował się w stronę ogrodów. Klasztor rycerzy Harmonii znajdował się na niskim wzgórzu, a otoczony był wysokim, solidnym murem. Prawdopodobnie został wybudowany jako warownia, która miała górować nad okolicą. Jeśli wierzyć kronikom, było to niezbędne, szczególnie za czasów Wielkiej Migracji, kiedy to koegzystencja wszystkich trzech ras była niezwykle trudna. Zakonnik wiele razy czytał o wielokrotnych czystkach rasowych, buntach oraz, oczywiście, napadach na kościoły.

Pegaz skierował się, jak to miał w zwyczaju, w stronę refektarza, z daleka omijając gargantuiczny budynek kościoła. Choć oddał się wierze, sam szczególnie bogobojny nie był i do świątyni wcale go nie ciągnęło.



Komnaty klasztorne, przynajmniej część przeznaczona dla rycerzy Harmonii, pogrążone były w kompletnej ciszy. Co rusz napotykał braci idących korytarzem, nie

przystawali jednak, by się przywitać; ograniczali się do skinięcia głową. Nie było to jednak spowodowane jakimś surowym nakazem bądź niechęcią. Sprawiała to raczej atmosfera panująca w tych murach. Długie szeregi kolumn przetykały budowlę nie gorzej niż w jego rodzinnym pałacu, posiadały jednak pewien nieprzyjemny dodatek – na ścianach w liczbie porównywalnej do liczby filarów znajdowały się ornamentowe maszkarony, których wygląd napawał pewnym niepokojem. Cudacznie przedstawione twarze kucykopodobnych istot z wyszczerzonymi pyskami wydawały się obserwować każdego przemykającego korytarzem zakonnika. Niektóre kucyki uważały nawet, że owe maskary słyszą każde wypowiedziane przy nich słowo. Co prawda Sea Shine nie wierzył w takie dyrdymały, jednak przezornie milczał wespół z pozostałymi. Ostrożności nigdy za wiele.

Wkroczył do refektarza z prawdziwą ulgą. Tu bowiem nie tylko zniknęła nieprzyjemna atmosfera, ale unosił się również niezwykle nęcący zapach ciepłego posiłku. Dominowały wonie grochu i kapusty, jednak pegazowi to nie przeszkadzało, już sama myśl o jedzeniu przyprawiała go o głośnie burczenie w brzuchu, zagłuszane przez szmer rozmów, brzęki sztućców i uderzenia kufli.

Zastał ich tak, jak podejrzewał – sprytnie ukrytych przy końcu długiego stołu. Przemysłnie wybrali to miejsce, od strony wejścia zasłaniała ich bowiem kolumna mająca na oko dwa łokcie szerokości. Trójka zakonników ubranych w niebieskie tuniki pogrążona była w gorącej dyskusji, szczerze zakrapianej okowitą, której butelka – nie pierwsza zresztą – krążyła między nimi.

– Długo coś ci zeszło, Shine – stwierdził ten, który najwięcej gestykulował – brat Storm Weather, z tych Weatherów, kucyk ziemny o trupiobladej sierści i czarnych włosach.

Według pegaza, znacząco minął się on z powołaniem. Jego płomienne mowy i erudycja bardziej by się przydały na ambonie niżli w polu, gdzie głośniejsze od słów przemawiała zimna stal. Niestety, w odróżnieniu od swojego brata, Good Weathera, ogiera szczupłego i inteligentnego, Storm Weather był prawdziwym waligórą, którego twarz szpeciły niezliczone ślady po ospie. Prawdopodobnie dlatego, gdy postanowił służyć wierze, nie przyjęto go do stanu kapłańskiego. Minusem tego było to, że zamiast z ambony, kucyk ziemny grzmiał na nich zza swojej wielkiej miski, z ustami pełnymi kaszy i kapusty.

– Na pewno zawitał jeszcze do katedry, oczyścić duszę przed kolejną batalią ze Złym – stwierdziła ironicznie Firefly, jedyna słuchaczka Weathera.

Pegazica opierała głowę na kopycie, demonstracyjnie ziewając. Ową klacz Sea Shine poznał już wcześniej na uniwersytecie. Pochodząca z Cloudsdale zakonnica stąpała po ziemi równie twardo, co profesorowie. Choć urodziła się w tak niesamowitym miejscu, wręcz go nie znosiła. Podobnie jak swojego imienia. Wynikało to mianowicie z dość powszechnego tam zwyczaju nadawania swoim latoroślom imion dawno zmarłych bohaterów, aby “nie zostali zapomniani”. Dzięki temu co drugie dziecko w Cloudsdale nazywało się Hurricane, Flash, Glider albo Firefly. Jednak powodu, dla którego ktoś tak bardzo pogardzający wszelką religią wstąpił do zakonu, nie chciała zdradzić nikomu, co wzbudzało masę plotek.

Trzeci kompan, jednorożec, którego Sea Shine niestety nie kojarzył, wpatrywał się ciężko w stojącą przed nim butelczynę wzrokiem dobitnie sugerującym, że owy nieznajomy toczy teraz nierówną walkę z własnym ciałem, które niebezpiecznie przechylało się w stronę stołu. Od razu dało się dostrzec, że słuchanie wywodów brata Storma było ponad jego możliwości.

Pegaz ochoczo przysiadł się do swoich towarzyszy, ignorując owego jednorożca, patrząc jednak tęsknie na stojącą przed nim butelkę, której z pewnością nie będzie mu dane posmakować. Obliznął usta.

– Mówię wam – powrócił do przerwanej mowy Storm Weather – wiele pracy będziemy mieć, jeżeli nic się nie zmieni. Podmieńce, mantikory, koboldy i inne diabły robią się coraz zuchwalsze, sądów bez liku i siła grzeszników do przesłuchania. Trudne czasy nastały dla Kościoła, oj trudne.

– Mówicie, jakby kiedyś byli łatwie – zauważyła Firefly.

– Drwicie – stwierdził, wydymając wargi, kucyk ziemny. – Ale powiedzcie, czy zdołacie dziś poznać prawdziwego syna czy córkę Kościoła? Spotkasz takiego, pozdrowi cię, przywita chlebem i solą tak, że nie zgadniesz, czy nie kryje w swoim domostwie jakiego bożątka, domowika czy inszego plugastwa, nie odprawia bluźnierczych rytuałów. Trudne czasy nastały dla Kościoła, oj trudne.

– Już to mówiliście, bracie – przypomniał mu Sea Shine. – Nie musicie się powtarzać.

– Mus mi powtarzać! – wykrzyknął z pasją Storm Weather, którego twarz poczerwieniała tak, że jego ślady po ospie zaczęły przypominać płonące kratery. – Tak długo, aż wszystkie oczy otworzą się na prawdę, ponieważ ile razy bym nie powtarzał, będzie to prawda. Toć nie widzicie, co się dziś dzieje? Jak grzyby po deszczu wszędzie pojawiają się fałszywi prorocy, swoimi fałszywymi naukami wykoślawiają Harmonię i wszystkie znane nauki. Dobrze powiedziała błogosławiona Księżniczka Platinum: "Przyjdzie chwila, kiedy jedyna prawdziwa nauka obmierzłą im będzie, słuchający jedynie własnych pożądań będą sobie mnożyli nauczycieli. Odwracać się będą od prawdy i zwracać się ku zmyślonym opowiadaniom". I twierdzić będą, na łaskę Harmonii, że w imię prawdy czynią to, co czynią!

– A żeby było śmieszniej – wtrąciła Firefly – wszyscy ci fałszywi prorocy i ich wyznawcy siebie właśnie uważają za prawych, a innych za heretyków opluwających jedyną prawdziwą wiarę. Choćby wyznające swoich heretyckich bożków jelenie, bezbożna ciemnota, nie lepsza niż inni im podobni: abkirianie, alunkowie, asilowie, noirowie, dargoddowie czy wreszcie betamorianie. Ilu by ich nie było, pewnikiem w momencie kiedy ich wyliczam, powstało drugie tyle, dwa razy głębszych i o dwa razy bardziej abstrakcyjnych poglądach.

– Dlatego trzeba wypalić to heretyckie nasienie! – stwierdził z mocą kucyk ziemny. – Wypalić je ogniem i mieczem, kryjówki zburzyć i solą posypać, coby nic już na onej splugawionej ziemi nie wyrosło!

– I kto to robi? – zaniepokoił się Sea Shine. – Ty, Storm Weather? Poprowadzisz święte zastępy na bój przeciw ciemnym siłom? Wypalisz z naszych ziem wszelkie zalążki herezji i diabelstwa? Poprowadzisz nas ku lepszej epoce?

– Ja... to znaczy – zająknął się Storm Weather, który wyraźnie pobladł na samą myśl, że mógłby stać się autorytetem dla kogokolwiek. – Na pewno znalazłby się ktoś odpowiedniejszy...

– Minąłeś się z powołaniem, Storm – stwierdziła rozbawionym głosem Firefly, wypowiadając wcześniejsze myśli pegaza na głos. – Powinieneś grzmieć na prostaczków z ambony, a nie wojować mieczem, z którym idzie ci równie dobrze, jak mnie szczanie na odległość.

– Zmiarkujcie sobie – zauważył Sea Shine, szybko dostrzegając dość jednoznaczną minę ogiera – że tak jak ci, którzy w wierze błędzą, grzeszą i ci, którzy z pobożnością przesadzają. Toć nie pamiętacie, jak trzy lata temu jakiś kleryk na wyprawę za morze się wybrał, do kraju kirinów? Wymyślił sobie, że prawdziwą harmonię osiągniemy jedynie gząc się po krzakach. Jak on to nazwał?

– Yin i Yang – przypomniła mu pegazica. – Przy czym wszystko za przeproszeniem, popierdolił, bowiem nie o to w owej idei chodziło. Ale wśród prostaczków się przyjęło i już kilka tygodni później wielu uciechę po miastach budziło, jawnie kopulując między sobą na ulicach, za nic sobie mając zbierające się wokół nich tłumy. A i dzieci było wśród gapiów co niemiara. Najwyższy kapłan potępił ich nadspodziewanie szybko, ale nic to nie dało. Dalej swoje robili i dopiero epidemia kiły ich wytłukła. Pewności co prawda nie ma, ale przynajmniej na ulicach jest spokój.

– A to akurat wypisz wymaluj identyczne sekty powstają – zaczął Storm Weather, który najwidoczniej odzyskał wcześniej stracony rezon. – Dziwnym trafem, najczęściej posiadające u podstaw chuć i poróbstwo i według jakiejś niepojętej logiki porzucając wszelkie moralne i boskie ograniczenia...

– Jeśli szukacie kogoś, kto logikę porzucił, szukać daleko nie musicie – Firefly uciszyła coraz bardziej rozkręcającego się ogiera, wskazując na siedzącego nieco dalej, milczącego zakonnika w pełnej zbroi. – Znany nam wszystkim Paul od kilku już miesięcy ponoć nosi włosiennicę, żywi się, jak zresztą widać, stęchłą wodą i... co do tej mącznej pulpy, to nie wiem, ale być może jest to chleb lub coś podobnego. Tylko czekać, jak zaczną mamrotać do siebie i pisać na ścianach jakieś znaki i przepowiednie. Mamy już przecież takich w Otoczakach.

Na to już ogier riposty znaleźć nie mógł, choć po zmarszczonej minie zdałoby się, iż silnie starał się jakowąś znaleźć, niestety z mizernym skutkiem. Niezręczna cisza zdawała

się trwać dobre kilka minut. W końcu jednak zagłuszyło ją głośnie łupnięcie. Jednorożec, który już wcześniej miał problemy z utrzymaniem równowagi, wreszcie przegrał z grawitacją i zwałił się na stół, przy okazji rozlewając resztki alkoholu z uprzednio trzymanej butelki. Zwałił się iście fartownie, gdyż sekundę później zagrzmiwały katedralne dzwony, zwiastujące południe lub popołudniową porę.

– Proponuję zostawić tę rozmowę na później – zaproponował Sea Shine, wstając. – Dzień się jeszcze dobrze nie zaczął, a wy już poruszacie tematy, o których nie iza rozmawiać na trzeźwo.

– Toć myślisz, że dlaczego mamy... znaczy się mieliśmy tutaj tę butelczynę – zauważył Storm Weather.

– Widzę, widzę, żeście sobie popili – przyznał pegaz, kiwając głową. – Jest to nad wyraz widoczne, ot, proszę spojrzeć, tam pan jednoróg usnął już z licem w kaszy. Ja jednak na trzeźwo w takie tematy wnikał nie będę. Zresztą i tak muszę się stawić u naszego drogiego archidiakona.

– W takim razie, do zobaczenia – odparła Firefly, starając się wespół z kucykiem ziemnym przebudzić wciąż utyłanego kaszą jednorożca. – Widzimy się wieczorem, wiesz gdzie? – spytała retorycznie i mrugnęła konspiracyjnie.

Pegaz mrugnął i ruszył w kierunku wyjścia. Dopiero na korytarzu zorientował się, że nie tylko nic nie wypił, ale również nic nie zjadł. Przeklinając własne roztargnienie, przyspieszył kroku, mając nadzieję, że spotkanie z archidiakonem nie potrwa tyle, co zwykle i zdąży jeszcze coś przekąsić.



Archidiakon, szczupły jednorożec o dumnym imieniu Orion, siedział jak zwykle w swoim starym, wysłużonym fotelu, który to skrzypiał przeraźliwie przy każdym, nawet najlżejszym poruszeniu. Dlatego też w gabinecie ogiera nigdy nie dało się uświadczyc ciszy. Kapłan bowiem nie siedział na nim nieruchomo. Nawet podczas rozmowy nieustannie wiercił się, co rusz zmieniając pozycję. Każdy rozsądny kucyk już dawno wymieniłby mebel na nowy lub po prostu oddał go do naprawy, ale nie on. Było to zachowanie osobliwe do tego stopnia, że wielu zakonników snuło między sobą najróżniejsze teorie na ten temat. Nic dziwnego. W końcu w klasztorze tak naprawdę nie działało się wiele. Naturalne jest, że gdy wokół nie dzieje się nic interesującego, kucyki są w stanie rozdmuchać nawet najbardziej trywialną sprawę.

– Witaj, witaj, mój chłopcze – powitał go Orion, unosząc głowę i przeszywając go na wskroś swoimi stalowoszarymi oczami, lekko zasłoniętymi przez czarne, rozwichrzone włosy. – Dobrze, że jesteś, mam z tobą do pogadania. Ale to zaraz, zaraz, najpierw muszę jeszcze przyjąć... ilu ich jeszcze jest?

– Został jeden – odparł stojący pod drzwiami zakonnik, którego mina, w przeciwieństwie do głosu, nie była beznamiętna. Widniały na niej zmęczenie i irytacja. Całkiem zresztą naturalne, biorąc pod uwagę, że archidiakon przyjmował interesantów od samego rana.

– Tym lepiej – ucieszył się Orion, poprawiając się w fotelu i powodując przy tym serię nieprzyjemnych skrzypnięć. – W takim razie póki nie skończę, spocznij tam, koło brata Hurricane’a, chłopcze. Niedługo do ciebie wrócimy.

Nie mając innego wyjścia, Sea Shine skierował się w na drugi koniec gabinetu, tam, gdzie zawsze niczym cień skrywał się okryty w czarną szatę brat Hurricane. Pegaz, którego imię nie pozostawiało złudzeń co do pochodzenia, był trupioblady i wychudzonym mnichem, którego zasuszone lico zawsze kojarzyło się ogierowi ze śmiercią i sprawiało, że ci, którzy go widzieli, nie wiedzieć czemu zaczynali pochmurnieć, rozmyślając nad końcem własnej egzystencji. Sea Shine zastanawiał się, czy stary skryba jest zadowolony ze swojego życia, biorąc pod uwagę to, czyje imię nosił. Nigdy jednak nie miał odwagi, żeby zapytać.

Tymczasem przed oblicze archidiakona wprowadzono petenta – podstarzałego, krępego gryfa o postrzępionych piórach, ubranego w drogi zielony wams i trzy złote obręcze na prawym przedramieniu.

– A czegoż to – zaczął spokojnie jednorożec – życzyć sobie ode mnie, drogi panie gryfie? Cóż takiego wydarzyło się w waszym życiu, że postanowiliście zaprzętać tym głowę Kościoła, z którym, tuszę, niewiele macie wspólnego?

– Sprawa moja, drogi panie diakonie, nie dotyczy mnie bezpośrednio, – zaczął gryf rzeczowym tonem – ale zbiorowości mieszkańców naszego pięknego miasta, którzy domagają się wyjaśnień. Otóż ostatnimi czasy, nie uwierzycie, ale różne nieprzyjemne osoby przechadzają się po Brzegu, przy Targu i koło Zatoki, nawołują, by bić bezbożne bestie, by je okradać, na włamy chodzić i hańbić ich żony i córki. Na kapłanów się powołują owi zbójce, niby że po boskiej i kościelnej woli owe burdy, kradzieże i gwałty czynili, czynią i przestać czynić nie myślą.

– Rozumiem już powód waszej troski, drogi przyjacielu – odparł jednorożec, przesuając się na fotelu bardzo powoli. – Taaak, teraz wszystko nabiera sensu. Zrozumcie jednak, drogi przyjacielu, że nie powinniście więcej mówić tego, co mówiliście jeszcze przed chwilą. Widzicie, Kościół jest bardzo wyrozumiały i potrafi wiele wybaczyć, ale jego zbrojne kopyto, na bluźnierstwo zresztą wielce wyczulone, mniejszą cechuje się powściągliwością, rozumiecie, gorące serca, gorące głowy. Ależ nie, nie, nie musicie nic mówić, drogi panie gryfie, widzę przecież, że rozumiesz powód mojej troski o ciebie. Tedy mówić będę ja.

Widać było, że gryf bardzo chciał coś powiedzieć, ukłonił się jednak nisko i wyczekiwał na dalszą część monologu archidiakona.

– Najświętszy Ojciec, kontynuując tradycję swych poprzedników, oświadczył, że gryfy, sfinksy, minotaury, kiriny i inne podobne wam stworzenia, pomimo że z pozoru w niczym nas nie przypominacie, to i wy macie do odegrania jakąś rolę, bez której Harmonia, której tak wszyscy pragniemy, nigdy nie zostanie zaprowadzona. Nie powinniśmy tedy prześladować ich, dyskryminować, piętnować, ciemnić bądź gnębić na jakikolwiek inny niegodny sposób. Mam nadzieję, że nie wątpisz, mój drogi przyjacielu, w to, że Kościół dokłada wszelkich starań, byście wraz z resztą swojego rodzaju poczuli się jak część wielkiej rodziny. Prawda?

– Gdy tak mówicie, szanowny diakonie, o tej wspólnotcie, rzeczywiście nie sposób nie usłyszeć w waszym głosie iście rodzicielskiej, opiekuńczej nuty – odrzekł petent bez mrugnięcia okiem.

– Tedy wiesz dobrze, że jak ojciec zawsze dba o swoje dzieci, – kontynuował Orion, udając, że nie dosłyszał drwiącej odpowiedzi – tak i ja dbam o was wszystkich. Zarzucanie ojcu braku zainteresowania się którąś ze swoich pociech jest niezwykle krzywdzące, ba! Powiedziałbym nawet, że jest to nielicha potwarz!

Gryf nic nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w ogiera wzrokiem kompletnie pozbawionym wyrazu.

– Oczywiście, jak zapewne się domyślasz, zwykłe kucyki niewiele wiedzą o nakazach Najświętszego Ojca, a próba dotarcia do nich, pomimo naszych najszczerzych chęci, jest niezwykle trudna. Nie mówiąc o tym, że sami nie wykazujecie najmniejszej inicjatywy w ociepleniu swojego wizerunku. Wręcz przeciwnie, z dziwnym upodobaniem dostarczacie motłochowi coraz to nowych pretekstów. Tam zarazę jaką wywołacie, tam piasek w koło młyńskie ciśnienie, klacz jakąś zbałamucicie lub bezbronnego kuczka na ruszt nabijecie. Niby te grzyby, co po deszczu wyłażą, tak wasze sklepy we wszystkich miastach się pojawiają, uczciwych kupców do ruiny doprowadzając. Żle mówię, przyjacielu? Nie jest tak?

– Co tedy robić, czcigodny diakonie – spytał się w końcu gryf, bezradnie rozkładając szpony – żeby się tego typu okropności nie zdarzały? Znaczą się, by tego piasku we młynach nie było, a i by klacze w spokoju ostawione były? Wszak coś musi być na rzeczy, skoro nawet tak zacna persona, która przecież nie daje się zwieść plotkom i pomówieniom, takie przykłady przywołuje.

– Modlić się, mój przyjacielu – odparł Orion natchnionym tonem. – Módl się, by łaska zrozumienia padła na prosty lud. By zobaczył, że bez koegzystencji między nami rodzić się będą jeno napięcia i swary, których w Harmonii, do której dążymy, być nie może. A teraz odejdź już, mój przyjacielu. Audycja skończona.

– Wy również się módlcie, diakonie – powiedział gryf, kłaniając się na pożegnanie. – Módlcie się, by owa łaska szybko spadła na owy lud. Może i wyglądamy inaczej, ale moja rasa krwawi tak samo jak wasza.

– Będę o tym pamiętał – odpowiedział archidiakon. – Bądźcie pewni, że zapamiętam sobie waszą radę. A teraz... wybaczenie, ale są jeszcze inne sprawy, które wymagają mojej uwagi.

– Dziękuję za poświęcony czas – odpowiedział gryf, ponownie zginając się w ukłonie, po czym wyszedł.

– A teraz – zaczął, gdy za petentem zamknęły się drzwi – podejdź do mnie, Sea Shine, synu mój. Teraz możemy pomówić o tobie.

Zakonnik podszedł posłusznie przed oblicze archidiakona, nie dał mu jednak rozpocząć rozmowy, samemu przejmując inicjatywę.

– Wasza Ekscelencjo, czy ten gryf mówił prawdę? – zapytał, nachalnie wchodząc Orionowi w słowo. Jednorożec spojrzał na niego twardym wzrokiem. Krzesło, na którym siedział, zajęczało żałośnie.

– Wiesz, kiedy powstał nasz kościół? – zripostował kapłan, patrząc na pegaza zimnymi, stalowoszarymi oczami. – W czasie wielkiego kryzysu, podczas Wielkiej Emigracji. Był to straszliwy czas, czas, w którym naszymi największymi wrogami były nie gryfy, konie z Arabii czy minotaury. Byliśmy nimi my sami. Pegaz dybał na jednorożca, a jednorożec na kucyka ziemnego. I tak zamykało się wieczne koło nienawiści. Dopiero nasze pojawienie się było zdolne przerwać jego bieg. Znaleźliśmy między sobą nic porozumienia. Stosunki między naszymi rasami polepszyły się.

– Kosztem nie-kuczych ras?

– Sea Shine, powiedz mi tylko jedno – ponownie skontrolował Orion, przyglądając się mu badawczo. – Przeszedłeś się kiedyś po mieście? I nie mówię tu o przejściu kilku ulic od klasztoru do lubianego przez was przybytku "Niewinna panna" albo do twojego ukochanego zamku... Nasz kraj trzyma w kupie jedynie to, że nasza niechęć do innych ras jest silniejsza niż nasza niechęć do siebie nawzajem. I tak, to nie-kuce na tym cierpią. Dlatego właśnie, gdy kucyk widzi gryfa, ma widzieć odpychającego potwora, wstrętnego, nienawidzącego kucyków osobnika, który okrada go z zarobków i tylko czyha na moment, by zatopić w nim swoje okrutne szpony i dziób. Ich nienawiść musi być ukierunkowana w danym kierunku i to naszym zadaniem jest ją ukierunkowywać.

– Natomiast ty chyba zapomniałeś, na czym polega twoje zadanie – powiedział jednorożec, jednak i tym razem Sea Shine nie wytrzymał.

– Moje zadanie – stwierdził – to ochrona słabych i bezbronnych. Przed każdym możliwym niebezpieczeństwem. Walczę z heretykami, wiedźmami, czarnoksiężnikami i innymi potworami, które zagrażają życiu zamieszkujących Equestrię kucyków i nie-kucyków.

Pegaz patrzył tylko tępo przed siebie, starając się za wszelką cenę nie pokazywać targających nim emocji.

– W takim razie muszę ci przypomnieć – dokończył archidiakon, jakby w ogóle nie słyszał poprzedniej wypowiedzi zakonnika. – Jesteś członkiem zakonu Harmonii, instytucji, która została powołana po to, by niszczyć największego wroga naszej wiary – myśl. Zostaliście stworzeni po to, by dławić ją w zarodku, karać i niewolić wolne umysły. Macie rozsiewać wokół siebie terror i strach, sprawiać, by motłoch bał się myśleć. Szkoda tylko, że tak wielu z dzisiejszych zakonników to właśnie kucyki, które mieli zwalczać, obdarzone wolną myślą, niebojące się zadawać pytań, a w dodatku na tyle butne, by jeszcze oczekiwać na nie odpowiedzi. To dlatego, przez kucyki takie jak ty, Shine, kwitnie kacerstwo, po wioskach pałętają się jacyś pałażnicy, druidzi czy inni pokręceni dziadowie w łachmanach, chłopci uciekają w lasy oddawać cześć jakimś pogańskim bożkom, a przeciętny kucyk, widząc dziś gryfa czy sfinksa, nie odczuwa już odrazy, a współczucie lub sympatię. Kwitnie przez kucyki tobie podobne, zapatrzone w niebo, odziane w obdarte szmaty lub biegające nago, uznające, że jedyna Harmonia istniała wieki temu, gdy jeszcze nie potrafiliśmy artykułować dźwięków. Nawiedzonych idiotów gadających o wierze, pokorze, o równości, pozwalający chamom stawać obok siebie w urojonym pojęciu harmonii i równości i od czasu do czasu doznający wizji. A ty miewasz wizje, Sea Shine?

– Nie zdarzyło się, wasza dostojność.

– Tyle dobrego. Jednak wracając: właśnie dlatego takich jak ty, Shine, nie zatrzymuje się w miastach; wysyła się was w dzikie ostępy, byście z tymi swoimi otwartymi umysłami ganiłi za beginkami, leszymi, gnomami i innymi obmierzłymi istotami. Byście swoją otwartością nie zniszczyli stworzonej przez swoich poprzedników struktury. Tej samej, której nienawidzą, a która od wieków spaja ten kraj. Mówię ci to tylko dlatego, że jesteś synem mojego dobrego przyjaciela. Pojąłeś teraz, Sea Shine? Możesz zejść naprawdę daleko, wystarczy, że przestaniesz wierzyć w mrzonki, ale do tego wrócimy kiedy indziej. Teraz mam dla ciebie pewne zadanie.

– Słucham więc Waszej Wielebności – wycodził przez zęby pegaz, już nawet nie kryjąc swojej złości, wywołanej monologiem archidiakona. Ten uśmiechnął się na ten widok.

– W takim razie słuchaj – zaczął Orion, przyciągając za pomocą magii wielkie, zwinięte płótno, które po rozwinięciu okazało się szczegółową mapą Manhattanu i jego okolic. Jednorożec rozłożył je na swoim biurku, po czym zaczął tłumaczyć Sea Shine’owi, na czym dokładnie będzie polegać przydzielone mu zadanie.

Krzesełko, na którym siedział, zaskrzypiało potępieńczo.



Zakonnicy Kościoła Harmonii nie mieli wielu obowiązków. Tak przynajmniej uważała większość mieszkańców Manhattanu. Zazwyczaj postrzegano ich za osiłków w błyszczących zbrojach, których jedynym zadaniem było szukanie heretyków lub chronienie

kościół. Co prawda wiadano również, że często zbrojne drużyny wyruszały poza miasto poszukiwać różnych tajemniczych stworów, takich jak czarty, strzygi i gnomy, ale dla mieszkańców wielkich metropolii była to jedynie abstrakcja i mało który mieszczanin miał pojęcie, jak to wygląda naprawdę. Wyjątek stanowili wieśniacy, którzy ściągali czapki na widok zakonników, darząc ich prawdziwą sympatią.

Często jednak zakonnicy pełnili obowiązki, które wymagały od nich ściągnięcia swoich błyszczących zbroi, prace, które wielu z obecnych zakonników uważało za niewarte ich czasu. Jak na przykład świątynne przytułki.

Ufundowane przez Kościół Harmonii budynki zostały wybudowane z myślą o ubogich i bezdomnych kucykach, które los doświadczył bardziej niż innych. Każdy, kto przekroczył progi tego budynku, mógł liczyć na ciepły posiłek i kąt do spania. To drugie oczywiście w ograniczonych ilościach.

Niestety w miastach takich jak Manehattan, Canterlot czy Fillydelphia zawsze brakowało miejsc. Pomimo pojawiania się coraz to kolejnych przytułków, ilość potrzebujących nadal była za duża. Kucyki okazywały jednak wdzięczność Kościołowi za ten gest.

I chyba o to właśnie chodziło, pomyślał Sea Shine, spoglądając na ustawiającą się przed nim kolejkę kucyków. Kucyki są wdzięczne za wyciągnięte w ich kierunku pomocne kopyto, nie zdając sobie sprawy, że to właśnie ci "pomocni" doprowadzają ich do ruiny. Im więcej biednych, którym trzeba pomóc, tym większe zapotrzebowanie na budowę miejsc, w których mogliby się schronić. Co z kolei wymusza na Kościele podwyższenie podatków, co z kolei doprowadza mieszczan do bankructwa i wygania na ulicę. I tak koło się zamyka.

Była to praca, która pozwalała mu zapomnieć o niektórych sprawach i oczyścić umysł. Mechanicznymi ruchami kiwał głową na powitanie, nalewał do podstawionej mu przed nos drewnianej miski jedną porcję cienkiej polewki i żegnał się. I tak niezliczoną ilość razy. Pamiętał swój pierwszy raz na tym stanowisku, kiedy próbował zapamiętywać pojawiające się przed nim kłacze i ogiery, jednak było to niewykonalne. Pomimo widocznych różnic, kiedy koło niego przewijały się dziesiątki kucyków, nawet najbardziej wyróżniający się osobnik ginął w tłumie, zlewał się z całością, której nijak nie dało się zapamiętać. Tak naprawdę lepiej pamiętał podstawiane mu co chwila puste miski.

– Witajcie, Bracie – odezwał się ktoś znad cynowego naczynia.

Zakonnik podniósł oczy na rozmówcę, machinalnie kiwając głową. Stojący przed nim kucyk ziemny miał brązową sierść w białe łaty, przewieszoną przez szyję brązową chustę, a na głowie stary słomiany kapelusz. Stereotypowy wieśniak, jakich pełno było w tej okolicy, najpewniej przybył do miasta na targ, ale fakt, że stał w kolejce po jedzenie znaczył najprawdopodobniej tyle, że mu się nie powiodło. Tak pewnie myśleli wszyscy wokół, ale nie Sea Shine. Pegaz patrzył przybyszowi prosto w oczy, tak bardzo niepasujące do jego prostej aparycji. Bystre, stalowoszare ślepie, zdające się przewiercać go na wskroś.

– Witajcie i wy – odpowiedział, zanurzając chochlę w wielkim garze z polewką, po czym ostentacyjnie postukał o jego ścianki. Rozejrzał się wokół, jakby dopiero teraz zauważył tę gigantyczną kolejkę przed sobą, po czym zwrócił się do nietypowego farmera. – Wybaczcie, niestety nic mi już nie zostało.

Wśród kucyków przeszedł szmer niezadowolenia, który jednak bardzo szybko ucichł, gdy tylko stało się jasne, że poza stanowiskiem Sea Shine'a były jeszcze trzy inne. Tymczasem młody zakonnik wskazał skinieniem głosu w stronę tylnego wyjścia z przytułku. W krótkim czasie znaleźli się na podwórzu. Pachniało starymi warzywami i kompostem. Kwiczały świny.

– Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie – zauważył kwaśno pegaz, kiedy wraz z drugim ogierem przeszli na tyły budynku, ukryci za hałdami starego, zatęchłego siana i liści kapusty. – Do tego jeszcze podchodzić do mnie tak ordynarnie na oczach dziesiątek kucyków... chcesz nas zabić?

Kucyk przypominający farmera uśmiechnął się lekko i oparł o stojącą obok beczkę deszczówki.

– Spokojnie, przyjacielu – odparł spokojnie tamten. – Najciemniej pod latarnią, jak to mówią, czyżbyś nie znał tego przysłowia? Więcej uwagi ściągamy na siebie teraz, stojąc tu zupełnie sami na środku podwórza, niż tam, pośród dziesiątek innych kucyków.

Sea Shine odwrócił się do swojego rozmówcy. Nie znosił tego kucyka. Drażniła go jego pewność siebie i lekceważący stosunek do spraw, które pegazowi wydawały się śmiertelnie niebezpieczne. Ale najbardziej irytowała go myśl, że nie może zwyczajnie zerwać tej znajomości.

W pierwszych dniach po przyjęciu do zakonu, kiedy nowo pasowany rycerz zobaczył surowe warunki panujące w tej klitce – inaczej nie potrafił jej nazwać – w której go zakwaterowano, był w kompletnym szoku. Proste dębowe biurko, także sama szafka i niewygodne, twarde łóżko były zdecydowanie poniżej standardów szlachetnie urodzonego kucyka, takiego jak Sea Shine. Postanowił więc doposażyć wnętrze, tak by nieco bardziej odpowiadało stylowi jego poprzedniego życia. Problemem jak zwykle były oczywiście pieniądze.

Jako że zakonnicy formalnie zrywają więzy z rodziną oraz przez fakt postąpienia sprzecznie z wolą ojca jasnym było, że jego krewni mu nie pomogą. Pegaz jednak nie załamywał się i postanowił znaleźć inny sposób, by wypchać swój trzos. Tak właśnie poznał stojącego przed nim kucyka o szarych oczach. Wtedy wydawało się to bardzo opłacalną umową. Sea Shine opowiadał o zasłyszanych gdzieś plotkach, o swoich rozmowach z innymi kucykami i dostawał za to pieniądze. W zależności od tego, jak interesujące wieści przekazywał, otrzymywany mieszek tracił lub przybierał na wadze, zawsze jednak była to kwota co najmniej zadowalająca. Z czasem jednak jego nieoczekiwany dobroczyńca przestał zadowalać się plotkami. Sea Shine zaczął dostawać szczegółowe instrukcje, co i od kogo powinien wyciągnąć oraz czas, jaki ma na zdobycie wymaganych informacji. Dopiero

wtedy zakonnik pojął, w co się wplątał. Zrozumiał też, że nie ma odwrotu. Gdyby odmówił, łąciaty ogier z pewnością postarałby się, by informacje o ich owocnej współpracy dotarły do właściwych uszu. Robił więc posłusznie to, co mu kazano. Niby nic się nie zmieniło, ale brzęk bitów wypełniających otrzymywane mieszki zaczął brzmieć niezwykle smętnie.

Teraz jednak miał okazję wyrwać się z tego nieuczciwego układu.

– Masz dla mnie coś ciekawego? – odezwał się łąciaty ogier, przerywając przedłużającą się ciszę. Sea Shine westchnął i zrelacjonował mu swoją rozmowę z archidiakonem, nie pominął również wymiany zdań między nim a gryfim petentem. Kucyk ziemny słuchał bardzo uważnie, a w miarę trwania składanych relacji jego uśmiech zaczął się rozszerzać. Na koniec kiwnął dwa razy głową, po czym parsknął serdecznym śmiechem.

– Powiedziałem już wszystko, co wiedziałem, mam nadzieję, że zaspokoilem twoją ciekawość – powiedział pegaz, zbity z tropu tym nieoczekiwanym wybuchem śmiechu, po czym zaczął iść w stronę wyjścia.

– Jeszcze jedna sprawa – stwierdził kucyk ziemny, zastępując mu drogę. – To twoje zadanie... jestem naprawdę ciekawy, co się za nim kryje. Na pewno powiedziałeś mi wszystko, co wiesz?

I znowu ten cholerny uśmiech, pomyślał Sea Shine, patrząc na ogiera i starając się ukryć swoją niechęć. Milczał.

– Cóż, nieważne – dodał po chwili kucyk o stalowych oczach. – Tą sprawą nie jestem aż tak zainteresowany. Oczywiście mam nadzieję, że mi o niej opowiesz... ale przecież masz nadzieję, że to będzie nasze ostatnie spotkanie, prawda?

Pegaz spojrzał na niego spode łba, świadomy tego, że drugi ogier bezczelnie się z niego naśmiewa. Dalej jednak nie miał zamiaru odpowiadać na zaczepkę. Zamiast tego spróbował przepchnąć się przez kuca, ten jednak uparcie nie chciał ustąpić.

– Może i opuścisz Manhattan – szepnął Sea Shine'owi do ucha. – Jednak coś mi mówi, że to nie będzie nasze ostatnie spotkanie.

Chciał jeszcze coś dodać, ale wtedy przez bramę przeszło dwóch pacholków niosących wielki gar polewki, kierujących się w stronę chlewika. Pomimo że obaj wyglądali jak cienie, zapatrzeni we własne kopyta, którymi powłóczyli jak lunatycy, Sea Shine i ogier o stalowych oczach pożegnali się szybkim skinieniem i ruszyli w stronę wyjścia. Pegaz schował do torby wciśniętą mu przez kucyka sakiewkę, po czym podziękował w duchu tym dwóm ogierom. Przyspieszył kroku. Za plecami słyszał głośnie kwiczenie.



Siofra zakaszlała w przytrzymywaną pod nosem chustę, po czym wróciła do obserwowania skomplikowanej aparatury alchemicznej, przy której pracowała.

Piwnica apteki "Czarny Bez" była bez wątpienia darem od losu dla kucyków pokroju Siofry. Jej opiekun i pracodawca Neige odkrył ją, kiedy nabywał ten budynek i prawie od razu przystąpił do renowacji. Z tego, co opowiadał wynikało, że zastał ją w kompletnej ruinie, choć teraz klacz była niemal pewna, że stary ogier przesadzał. Patrząc na otaczający ją sprzęt, podmieniec oczami wyobraźni widziała stojące tu piece i anatory, wiecznie rozgrzane, buchające żarem, promieniujące gorącem, które błogosławiono zimą, a przeklinano latem. W anatorach dokonywało się kalcynacji i wyżarzania, najrozmaitsze substancje przechodziły od fazy albedo do fazy nigredo, wydzielając przy tym okropny smród. W kolbach nieustannie ktoś coś filtrował, destylował lub ekstrahował, czemu musiały towarzyszyć eferwescencje, a wydostający się z nich odór był pewnie jeszcze dotkliwszy. Nieustannie coś sublimowało, rozpuszczało się lub koagulowało, pryskając przy tym na wszystko i wszystkich dookoła, wyżerając dziury w księgach i notatkach, czego sama doświadczyła już wielokrotnie.

Miejsca i stanowisk było tyle, że spokojnie mogło tu pracować bez przerwy co najmniej czterech alchemików. Dziś schodzili do niej tylko ona i Neige.

Stanowiło to część jej pracy, jako praktykantka musiała znać się na alchemii, przynajmniej w wystarczającym stopniu, by być w stanie przyrządzić proste eliksiry. Jednak ilość pracy i wiedzy, którą trzeba było przyswoić, była tak duża, że pierwsze miesiące swojego pobytu w "Czarnym Bzie" spędzała właśnie w tej piwnicy. Ściągnęła tu nawet swoje łóżko i szafkę.

Klacz ujęła rozgrzaną kolbę w żelazne szczypce i starając się robić to jak najwolniej, przelewała lawendowy płyn do miski pełnej gadzich łusek. Nagle rozległo się głośne skrzypienie, Siofra odruchowo spięta się i wylała całą esencję do misy. Zawartość zasyczała, zadymiła i wybuchła z głośnym hukiem, rozpryskując dookoła kawałki łusek.

– Jasna cholera! – wściekła się podmieniec, czując pieczenie – najprawdopodobniej rozciętego – prawego policzka, mając świadomość, że teraz będzie musiała sprzątnąć cały ten bałagan. – Kto tam?! Neige, jeśli to ty, to wiedz, że przez ciebie muszę zaczynać od początku! Przecież umawialiśmy się, żebyś nie otwierał tych drzwi, kiedy pracuję! Nie wspominając o tym, że miałeś je naoliwić kilka tygodni temu!

Omiotła wściekłym wzrokiem narobiony przez niego – jasnym było, przecież że nie przez nią – bałagan, starając się zdecydować, od czego zacząć. Po namyśle uznała, że najlepiej będzie zdjąć ubrania, których woń, delikatnie mówiąc, drażniła jej nozdrza.

Zdjęła ubranie i zaczęła szperać w szafie w poszukiwaniu czegoś na zmianę, nie zwracając uwagi na schodzącego po schodach Neige'a, który – na pewno – nie był zadowolony z tego, że odważyła się podnieść na niego głos i ustalał sobie w głowie, w jaki sposób dać jej burę.

– Bardzo przepraszam za najście – odezwał się głos ogiera, jednak nie był to głos starego aptekarza. Wystraszona Siofra zwróciła się w kierunku schodów, odruchowo chowając się za ustawiony obok parawan.

Ogier, który ją odwiedził, wyglądał jak stereotypowy wieśniak – kucyk ziemny o brązowej sierści w białe łaty, przez szyję miał przewieszoną brązową chustę, a na głowie stary słomiany kapelusz. Jedynie jego oczy zdradzały, że nie był tym, za kogo chciał uchodzić. Zimne i przenikliwe, koloru żelaza.

– Przepraszam za najście – powiedział z serdecznym uśmiechem. – Ale mam do pani pewną sprawę.



Nocą Manehattan jest naprawdę niebezpieczny, pomyślał Sea Shine, idąc główną ulicą targową, kierując się w stronę zamku, ku centrum wyspy.

Przejechał wzrokiem po opustoszałym już targu, a w głowie pojawiały mu się wizerunki bandytów i złodziei, którzy nocą wykazywali największą aktywność. Wtem jednak z dachu jednej z kamienic oderwał się jakiś cień, po czym wzbił się w powietrze, znikając w nocy.

Pegaz przełknął ślinę i skierował się nieco szybszym krokiem w górę ulicy. Gdy słońce chowało się za horyzont, w uliczkach Manehattanu pojawiali się nie tylko złodzieje. Miasto było miejscem bytowania licznych nienaturalnych stworów, których kościół nie był w stanie do końca wytrzebić. Pomimo że wędrował tymi drogami setki razy i nigdy żadnego z nich nie spotkał, to widok pustych, niepatrolowanych ulic sprawiał, że pegaz odczuwał niepokój. Z kolei wszystkie te istoty nocy musiały czuć się niezwykle swobodnie, przechadzając się tymi pustymi alejkami.

Sea Shine dostał się w końcu na koniec ulicy, skąd ujrzał w końcu cel swojej wędrówki. Wielki, trzypiętrowy budynek przytulony do klifu, na którym znajdował się zamek, wyglądał jak mała forteca. Wrażenie to potęgowały wysokie mury obejmujące całkiem spory teren dookoła i przypominające baszty boki budowli. Widać i tym razem ogierowi sprzyjało szczęście.

Pokrzepiony widokiem swojego celu, zakonnik ruszył dziarsko w kierunku burdelu "Czarnej Perły", najdroższego i zarazem najelegantszego przybytku w Manehattanie. Wbrew wiedzy większości – która to większość nigdy nawet nie przekroczyła murów odgradzających miasto od budynku – w owym domu publicznym znajdowało się również niezwykle ekskluzywne kasyno i to właśnie do niego kierował się Sea Shine.

Właśnie dlatego pegaz wystroił się we w miarę nieformalny strój. Ciemnoszare hajdawery i biała koszula, na którą założył obszyty złotą nicią kubrak, chował się jednak pod nałożoną na grzbiet szubą. W końcu nie mógł sobie pozwolić na to, by ktoś na wysokim stanowisku zobaczył syna hrabiego w byle jakich szmatach.

Jeden z powodów, dla którego "Czarna Perła" była tak wielkim, drogim i eleganckim budynkiem, stanowiło to, że jej pokoje odwiedzali bogaci kupcy, mieszczenie, arystokraci, mistrzowie gildii, generałowie, a nawet kapłani, dzięki czemu ów przybytek stał się ważną, choć oczywiście nieoficjalną, instytucją polityczną. W "Czarnej Perle" oprócz przyjemności i hazardu oferowało się również informacje. Wiedza o słabościach kucyków władających miastem, informacje o możliwościach manipulowania nimi lub, w razie potrzeby, ich wyeliminowania. Wśród arystokracji panowało przekonanie, że jeżeli ktoś wysoki rangą nagle został skompromitowany, zabity bądź zaginął, bez wątpienia przyczyn należy szukać przy którymś ze stolików w "Czarnej Perle", miejscu neutralnym, którego wpływ na miasto jest tak wielki, że większość kucyków woli mieć je po swojej stronie. A jak lepiej zjednać sobie kogoś jak nie pieniądze darowizną?

Ale dla większości to i tak jedynie wielki burdel i szulernia, pomyślał Sea Shine, dziwiąc się nad ignorancją niektórych kucyków.

Dotarcie na teren przybytku zajęło pegazowi kilka minut. Kiedy wreszcie dotarł na miejsce, musiał przedzierać się przez tłum innych ogierów, którzy – tak jak on – postanowili spędzić noc w "Czarnej Perle". W tłumie elegancko wystrojonych kucyków co chwila wyławiał znajome twarze, na wszystkich malowało się to samo zniecierpliwienie.

W końcu jednak pegazowi udało się przedrzeć przez istny gąszcz płaszczy, przynajmniej tak to wyglądało. Każdy, dosłownie każdy ogier, którego Sea Shine mijał, miał narzuconą na grzbiet grubą, obszytą wełnianym kołnierzem pelerynę lub – u co biedniejszych – gruby kożuch. Pegaz w sumie się nie zdziwił, choć sam nie odczuwał aż takiego zimna, to lato mimo wszystko chyliło się już ku końcowi, a dni w Manehattanie robiły się coraz chłodniejsze. Dodatkowo takie okrycia pomagały jako tako w zachowaniu anonimowości, która była tak ceniona wśród odwiedzających ten przybytek gości.

W sieni przywitało go jak zwykle nie tylko przyjemne ciepło, ale również znany wszystkim tutejszym bywalcom wykidajło – Night Sky. Odziany w skórzane spodnie i czarny kubrak, pod którym nosił niebieską koszulę, kucoperz mierzył swoim zimnym, bezlitosnym wzrokiem każdego, kto odważył się przekroczyć próg budynku. Jedno jego spojrzenie wystarczyło, by odczuwane przed chwilą ciepło zostało całkowicie zapomniane, wyparte przez nagle przesywający ciało chłód.

Można to było zrzucić na kark jego rasy, na którą przecież każdy reagował strachem, choćby przez związane z nimi opowieści. Z biegiem czasu urosły one wręcz do postaci legend, opowiadanych szeptem historii o piciu krwi, porywaniu żrebiąt i mrozących krew w żyłach nekromanckich praktykach. Night Sky nie wpasowywał się jednak w ten schemat, jego aparycja była do bólu zwyczajna. Wielkie, białe kły, które tak bardzo wyróżniały jego

gatunek, ledwo co wystawały spod górnych warg, a pędzelki na końcach uszu były prawie niewidoczne.

– Witam w “Czarnej Perle” – odezwał się beznamiętnie do pegaza i stojącego obok jednorożca, niewątpliwie szlachcica, ubranego w jedwabny, fioletowy wams, którego cena z pewnością przebijała wartość ubrań zakonnika co najmniej dwukrotnie. – Poproszę o wasze okrycia i broń.

Sea Shine posłusznie zdjął swoją szubę, wiedząc, że z Night Sky’em nie ma żartów, po czym przysunął się nieco bliżej wejścia do głównej sali, czekając jednak na pozwolenie.

– Tam, gdzie idziecie, broń nie będzie wam potrzebna – uprzedził jednorożca, który już nabierał powietrza, by zaprotestować, jednak pod wzrokiem kucoperza spuścił z tonu i zaczął odpinać dyndający przy boku kozik.

– Dziękuję... tak, gdyby mógł pan jeszcze oddać mi ten sztylet, który schował pan pod kaftanem – zauważył jakby od niechcienia, gromiąc kuca zimnym spojrzeniem, od którego tamtemu zaczęły drżeć kopyta. – Niech się pan nie martwi, u mnie będzie bezpieczny... Dobrze się pan czuje? Jeżeli coś panu dolega, może powinien pan wrócić do siebie i odpocząć?

Jednorożec zaczął przebąkiwać jakieś słowa sprzeciwu, jednak były one wyraźnie wymuszone. Kucoperz spojrzał na Sea Shine’a, po czym skinął głową w stronę wejścia, dając znak, że ten może wejść, po czym powrócił do prowadzonej wcześniej dyskusji z ogierem w fioletowym wamsie.

Kiedy wszedł, jego nozdrza zaatakowała mnogość różnych woni. Składały się na nią niewątpliwie silne zapachy perfum i egzotycznych roślin.

Samo wnętrze również przedstawiało się niezwykle wytwornie. Jak można się było tego spodziewać, eerotyzm wylewał się tu zewsząd i nie chodziło o przechadzające się dookoła zgrabne piękności w skąpych strojach. Na ścianach wisało wiele obrazów i arrasów przedstawiających miłosne sceny i to tak nieprawdopodobne, że na pierwszy rzut oka wątpiło się w to, czy ciało kucyka zdołałoby się wykręcić w takie pozycje. Jednak gdy spojrzało się na otaczające klientów, zmysłowo kręcące ogonami klacze, wielu zapomniało o tym nieistotnym fakcie. Mimo wszystko kiedy po raz pierwszy pojawił się w “Czarnej Perle”, miał o niej zupełnie inne wyobrażenie. W jego głowie nie tylko na ścianach, ale również na filarach znajdowały się malunki kucyków, złączone w miłosnych pozach, nie mniej realistycznie niż na obrazach, za to w naturalnych proporcjach, podczas gdy rzeczywistość okazała się nieco inna.

– Widzę, że nie tylko ja się spóźniłem – odezwał się znajomy głos. – Chodźmy, bo jeszcze gotowi są zacząć bez nas.



– Sea Shine i Storm Weather,, myśleliśmy, że postanowiliście wzgardzić naszym towarzystwem, a tu proszę, niespodzianka!

– Cecilu, jak moglibyśmy nie przyjść, kiedy wiemy, że czekać na nas będzie tak porządna kompania?

Siedzący za stołem Cecil Grey i dwóch innych zakonników roześmiali się serdecznie. Wszyscy byli ubrani podobnie do Sea Shine'a, zapach alkoholu, jaki od nich bił jasno świadczył o tym, że czekali na nich już jakiś czas. Pozostała dwójka była bliźniakami, w dodatku pegazy stanowiły parę do bólu stereotypową. Jeden był prawostronny, a drugi lewo, podczas gdy jednego coś bawiło, drugiego to nudziło i odwrotnie. Jedynie do hazardu bracia żywili takie samo zainteresowanie. Jednak zakonnik za nic nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywali.

– Zaczęliśmy się już kapkę niecierpliwić – stwierdził Cecil, kiedy obaj spóźnialscy zasiedli na swoich miejscach.

Był wielkim kucykiem ziemnym o imponującym, smolście czarnym zaroście, mającym prawdopodobnie ukryć pokrywające całą twarz ślady po ospie. Niestety metoda ta nie działała, a wręcz upodabniała go do jakiegoś zbira. Bijąca od niego woń alkoholu dodatkowo dopełniała całości.

– Napij się, przyjacielu – powiedział ogier, przystawiając pegazowi kufel piwa, mało przy tym wszystkiego nie rozlewając. – Tobie nie proponuję, Storm, wiem co się dzieje, gdy się upijasz.

Dwaj pozostali, nie mniej podpici zakonnicy zachichotali, podczas gdy Storm Weather uciekł wzrokiem pod stół. Pegaz nieco współczuł przyjacielowi, jednak nie sposób było zaprzeczyć, że jemu też nie chciało się wysłuchiwać nawiedzonych kazań, które ogier zwykł wygłaszać, gdy wypił o jedną butelkę za dużo, w końcu dzisiaj już raz musiał ich słuchać.

– A więc jak będzie, panowie, zagramy? – zapytał jeden z tych dwóch braci, podczas gdy drugi zaczął zgarniać resztki jedzenia, które pochłonęli wcześniej. – Coś czuję, że dzisiaj jest mój dzień, może wreszcie będzie mnie stać na tę zebkę...

Kolejny ze znaków rozpoznawczych "Czarnej Perły" stanowiła niezwykła różnorodność oferowanych usług. Można tu było spędzić noc nie tylko z kłaczami jednorożców czy pegazów, pracowały tu również łanie i zebry, a według plotek nawet jeden podmieniec. Oczywiście im bardziej niecodzienna usługa, tym więcej należało na nią wyłożyć, a ceny dyktowane przez tutejszą burdelmamę potrafiły porządnie przetrzepać nawet najgłębsze kieszenie.

– Zawsze wiedziałem, że lecisz na paski – zaśmiał się Cecil, jednak mimo wszystko jego oczy również na moment stały się rozmarzone.

Sea Shine również nie pozostawał obojętny na klacze wdzięki. Jego uwagę przykuła pewna zgrabna pegazica o długich, rudych włosach i zakrytej tylko przez cienki gorset brzoskwiowej sierści. Przechadzała się pomiędzy stolikami, podobnie jak kilka innych klaczy, jednak w jej ruchach było tak dużo zmysłowości, że ogier nie potrafił odwrócić wzroku. Nie wiedział jednak, co z tym fantem zrobić.

W końcu jeszcze nigdy nie dzielił łoża z klaczą.

W murach “Czarnej Perły” zawitał dziś nie po raz pierwszy, nie piąty, nawet nie dziesiąty. A zawsze kończyło się na kilkugodzinnym hazardzie w ogierzym gronie.

Kilkakrotnie nawet udawało mi się wygrać tyle bitów, że stać mnie by było i na kilka takich, a co ja robiłem? Stawiałem wszystkim kolejki, pomyślał zażenowany.

Tknięty nagłym impulsem, Sea Shine wstał od stołu, wzbudzając tym zdziwienie reszty towarzystwa, które jednak chwilę potem przekrzykiwało się w dość już nieskładnych próbach dodania odwagi.

Mimo to, w jakiś sposób dodali pegazowi otuchy. Jakaś jego część chciała wrócić na miejsce i dokończyć zaczęte piwo, jednak uciszył ją. Skoro już zaczął, uznał, że powinien to skończyć. Pomimo drżących kopyt i z trudem przełykanej śliny, konsekwentnie parł do przodu, zastanawiając się przy tym, czy wygląda równie żałośnie, jak się czuje.

W końcu stanął przed nią, zagroził jej drogę dwa stoliki dalej, starając się coś powiedzieć. Ona stała przed nim, o głowę niższa, spoglądając na niego figlarnie swoimi soczyscie zielonymi oczami. Czekala.

– No więc... – wykrztusił z siebie z trudem Sea Shine, czerwieniejąc jak burak. – Powiedz... jesteś teraz wolna?

Klacz uśmiechnęła się onieśmielająco, po czym skinęła głową w stronę schodów na piętro. Ogier ponownie przełknął ślinę. *W co ja się wpackowałem?*, pomyślał.



Słyszał jej kroki za sobą.

Weszła za nim ostrożnie, jakby z ociąganiem, po czym zamknęła za sobą drzwi, odcinając ich od gwaru na dole. Słyszał tylko przytłumione dźwięki. Delikatnie opłótła

jego spiętą szyję kopytami, muskając ją nosem. Zadrżał, czując na sobie jej ciepły oddech. Teraz, gdy byli sam na sam, wreszcie udało mu się ją poczuć. Pachniała lawendą.

Nie był pewien, od czego zacząć, stał tak przez moment, czując się jak głupek. Klacz musiała to zauważyć, ponieważ odwróciła go do siebie i wskazała głową na swój grzbiet.

– Rozepniesz mnie? – spytała kusząco.

Sea Shine poczuł uderzenie gorąca na całym ciele, przy czym nic nie odpowiedział, zabrał się jedynie do trzymających jej gorset sznurków. Szło mu to powoli i topornie, z każdym nieudanym pociągnięciem czerwienił się jeszcze bardziej, świadom, że robi z siebie błązna. Ona jednak nic nie mówiła, czekała tylko. W końcu udało mu się rozwiązać ostatni węzeł.

Przeciągnęła się powolnym, kocim ruchem, prezentując mu się w pełnej krasie, rozkładając przy tym skrzydła. Pegaz poczuł, że jego własne również się podnoszą, odwrócił zawstydzony wzrok.

Teraz to ona zabrała się do dzieła. Szybkimi ruchami pomogła mu pozbyć się ubrania. Kilka sekund później zarówno koszula, jak i spodnie leżały na ziemi, a ogier stał na środku pokoju nagi i zawstydzony.

Spokojnym, leniwym ruchem pociągnęła go na wielkie, drewniane łóżę, nie oponował, poruszał się niezwykle ślamazarnie. Gdy leżała na nim, wydawała się jeszcze piękniejsza niż wcześniej, jej twarz oświeślały srebrne promienie księżyca, wpadające przez znajdujący się wyżej świetlik. Przyglądała mu się zza gęstych, czarnych rzęs, jej oczy lśniły. Klacz objęła go udami i położyła się na boku, muskając włosami jego pierś, czekała. Nie za bardzo wiedząc, co robić dalej, Sea Shine czekał również. Pegazica ponagliła go, muskając kopytem jego policzek. Powoli, zmysłowo.

Uśmiechnął się niepewnie, chcąc przytrzymać jej kopyto swoim, ona jednak zabrała je szybko, spoglądając na niego figlarnie i poruszając biodrami.

Ogier podniósł się na jedno kopyto, chciał ją objąć, ponapawać się jej pięknymi, lśniącymi oczami. Jednak i tym razem klacz całkowicie go zaskoczyła. Poderwała się z łóżka, przewróciła go, przeturlała kilka centymetrów i położyła się na jego piersi.

– Słyszałeś kiedyś o Yin i Yang? – spytała szeptem, spoglądając na niego spod fali rudych włosów.

Nie powiedział nic, nie było takiej potrzeby. Dał się jej ponieść, podczas gdy ona pokazywała mu to, czego wcześniej nigdy by nie podejrzewał. Jego troski odpłynęły, a myśli wypełniła przyjemność.